

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Tlejące węgle.

Sto kilkadziesiąt numerów „Przeglądu Wileńskiego”, poświęconych propagandzie i uzasadnieniu ideologii krajowej powinny, zdawałoby się, w dostatecznej mierze wyjaśnić i ustalić pojęcie i termin „krajowości”—jeżeli nie w świadomości szerokiego ogółu, który mało się interesuje zagadnieniami zasadniczymi, to przynajmniej w umysłach tych naszych polityków i publicystów, którzy traktują swój zawód poważnie i w pogoni za doraźnym efektem nie zatarcili jeszcze poczucia moralnej odpowiedzialności za wygłaszane przez siebie poglądy i zdania.

Jednakże raz po raz spostrzegam, że, mimo obfitej wcale literatury na temat „krajowości”, panuje w tej dziedzinie zupełny chaos pojęciowy i że wciąż ukazują się nowe definicje i dociekania, które zamiast klarować, tylko zaciemniają istotę zagadnienia i bałamuca ostatecznie opinię publiczną. Nie posunęła sprawy, jak widzę, ani o krok naprzód ani dyskusja na temat krajowości i regionalizmu, która się wywiązała z okazji ukazania się pierwszego numeru „Źródeł Mocy” ani krytyka w „Przeglądzie Wil.” przedwyborczych artykułów „Kurjera Wil.”, propagujących hasła krajowe w nader powierzchownym ich ujęciu, bo oto znów p. Cat na łamach „Słowa” powraca do tej samej kwestji, uczuwszy nagle chętkę „poprawienia reputacji pewnego wyrazu”.

Zdaniem p. Cata „krajowość” nie cieszy się u nas popularnością, ponieważ jest reprezentowana z jednej strony przez niżejpodpisanego, który jest uważany za zwolennika nacjonalizmu litewskiego, z drugiej zaś strony przez p. p. Świaniewicza i Wyśloucha, którzy na szpaltach „Kurjera Wil.” kruszą kopje w obronie nacjonalizmu białoruskiego.

P. Cat pisze dosłownie:

„Krajowość uznawana jest jako pomost dla

stworzenia z Wilna stolicy państewka narodowo-litewskiego. Pogląd ten może znaleźć uzasadnienie w fakcie wychodzenia w Wilnie „Przeglądu Wileńskiego” „pisma krajowego”. Jest mi bardzo przykro, że muszę zawsze zajmować wobec p. Abramowicza stanowisko wręcz wrogie. Jest to świetny publicysta, który niewątpliwie ogromnie nam tu w Wilnie jest potrzebny dla swej wyjątkowej kultury dziennikarskiej. Ale ja jestem obywatelem państwa polskiego. Stąd nie mogę czytać takich zdań, jak to, które cytuję za „Przeglądem”.

„Myśl Niepodległa” zapomniała widocznie, że dzięki tylko poparciu Konferencji Ambasadorów Polska dziś włada Wilnem. Śmieszna i niemądra jest ta buńczuczność warszawskich polityków kawiarnianych!”

Zdanie to jest historycznie absolutnie błędne, jest w wysokim stopniu dla każdego obywatela polskiego prowokacyjne. Jak niemądre jest to „tylko” w tem zdaniu. P. Abramowicz uważa się za jedynego przedstawiciela idei krajowości i dumny jest ze swego odosobnienia i ze swej oryginalności myśli. Powiedzmy, że jest głównym strachem, który odstrasza miejscowe społeczeństwo od idei krajowości. Służy tej idei, którą głosi pod tytułem swego pisma, jak można najgorzej”.

Śpieszę, przedewszystkiem odwzajemnić się takim samym komplementem. Jest mi bardzo przykro, iż muszę zawsze zwalczać p. Mackiewicza. Jest to bardzo zdolny publicysta, który niewątpliwie ogromnie nam tu w Wilnie jest potrzebny dla swego wyjątkowego temperamentu. Ale ja jestem konsekwentnym krajowcem, więc nie mogę czytać takich zdań, jak to, że Wilno jest kluczem mocarstwowego stanowiska Polski. Bo cóż to ma wspólnego z ideą krajową? To zupełnie tak, jak gdyby któryś z autonomistów alzackich uzasadniał swe dążenia do wyodrębnienia Alzacji i Lotaryngji argumentem, że Strasburg jest strażnicą Francji nad Renem.

Nie mam zamiaru na tern miejscu wdawać się w roztrząsanie, w jakim stopniu zdecydowało o przynależności Wilna do państwa polskiego poparcie mocarstw sprzymierzonych, czy całkowicie i wyłącznie, czy też w bardzo znacznej mierze tylko. Gotów jestem nawet ustąpić coś nie coś ze swego, jak p. Cat utrzymuje, „niemądrego“ twierdzenia i przyznać, że przyczyniła się również do tego wyteżona agitacja pp. Małowieskich i Nusbaumów, ale nawet tego rodzaju złagodzenie mego stanowiska prawdopodobnie nie uczyni mnie bardziej pociągającym w oczach tych, dla których jestem „głównym strachem, odstrasającym miejscowe społeczeństwo od idei krajowości“.

Trudno jest wydawać sąd o samym sobie, to też, mimo wszelkich wysiłków do autokrytycyzmu, być może istotnie nie zdaję sobie sprawy ze swego odrażającego wyglądu. Chętnie więc zrezygnuję ze swej propagandy krajowości, jak to już raz oświadczyłem z okazji powstania efemerycznego „Krajowego Stronnictwa Ludowego ziem litewsko-białoruskich“ i złożę to zadanie w bardziej powołane ręce, gdybym miał pewność, że idea krajowa przez to nie ulegnie spaceniu a nawet całkowitemu pogrzebaniu.

Bo któż jej będzie bronił? P. Cat wymienia kilka przykładów „złego rozumienia krajowości“, jednakże nie podaje ani jednego przykładu dobrego i słusznego jej pojmowania, pozwalając jedynie domyślać się, że jego to właśnie należy uważać za prawdziwego przedstawiciela ideologii krajowej. Wolne żarty! Nie przeczę, że p. Catowi nie są obce pewne sympatje i tendencje krajowe, chwilami daje im on nawet dość jaskrawy wyraz, ale od pewnej inklinacji do przemyślenia gruntownego i wyznawania szczerego programu krajowego jest jeszcze bardzo daleko. Bo przecież ani imperjalizm polski ani monarchizm polski, których zwolennikiem gorącym stale p. Cat się mieni, nie godzą się w żaden sposób z ideologią krajową, opartą na tradycjach samodzielności W. Ks. Litewskiego.

Pod jednym względem p. Cat ma słusność: największym wrogiem krajowości jest nacjonalizm. Ale mija się świadomie z prawdą, gdy pomawia „Przegląd Wileński“ o dążenie do utworzenia z Wilna „stolicy państewka narodowo-litewskiego“. W żadnym artykule ani moim ani czyimkolwiek, zamieszczonym na łamach „Przeglądu Wil.“ nikt nie znajdzie i nie dopatrzy się podobnych tendencji. Przeciwnie, właśnie ze strony nacjonalistów litewskich często spotyka mnie zarzut, że *istniejące* już państwo litewskie za mało budzi zainteresowania wśród krajowców, że „Przegląd Wil.“ za mało mu poświęca uwagi i że idea historycznej Litwy, której odbiciem jest t. zw. „krajowość“ pozostaje w sprzeczności ze współczesnymi aspiracjami narodowymi litewskimi.

Nie ulega wątpliwości, że zarówno nacjonalizm litewski, jak nacjonalizm białoruski kategorycznie dziś odrzucają koncepcję krajowców, polegającą na dążeniu do zcałkowania ziem b. W. Ks Litewskiego.

Ale nie jest prawdą, co pisze p. Cat, że „jeżeli nacjonalizm polski dla idei krajowości jest szkodnikiem, to nacjonalizm białoruski i litewski jest tej idei otwartym wrogiem“. A nie jest prawdą dla tej prostej przyczyny, że oba te nacjonalizmy mają jednakże jeden punkt styczny: oba występują pod znakiem Pogoni. A dla kogo jest drogi ów symbol naszej przeszłości, — ten nieraz nieświadomie nawet dla siebie — stanowi niezawodny materiał na krajowca. Ciasne obecnie nacjonalizmy litewski i białoruski w dalszym swym rozwoju będą się pogłębiały i nabierały charakteru historyczno państwowego, tradycje W. Ks. Litewskiego będą przemawiały coraz wymowniej w miarę zaspakajania elementarnych potrzeb narodowych i w rezultacie urzeczywistnienie ideału krajowego może nastąpić w drodze pokojowej ewolucji. Dlatego ani nacjonalizm litewski ani białoruski, chociaż obecnie wykazują dążności odśrodkowe, nie są groźne dla ideologii krajowej. Wyznawcy jej patrzą na zapędy młodego nacjonalizmu litewskiego i białoruskiego, jak doświadczony pedagog na wybryki gorącej młodzieży. „Młodość musi się wyszumieć“.

Co innego nacjonalizm polski. Ten nie wyrasta u nas z gruntu miejscowego. Jest naleciałością obcą, zjawiskiem nienaturalnym na ziemiach litewsko-białoruskich, gdzie *rdzennej* ludności polskiej prócz drobnej garstki szlachty i mieszczaństwa napływowego niema wcale, a więc czynnikiem szkodliwym, bo wypaczającym normalny rozwój kraju. Nacjonalizm polski sprawił to, że terytorjum W. Ks. Litewskiego, zamiast się rozpaść na dwie części składowe, jak powinno było w początkowym stadium swego wyzwolenia, zostało podzielone na trzy części, z których żadna nie posiada widoków pełni rozwoju i z których ta właśnie, co najbardziej uległa jego wpływom, najbardziej zatraciła instynkt samozachowawczy i najmniej wykazuje poczucia samodzielności. Nacjonalizm polski nigdy, w żadnych okolicznościach i przy żadnych koniunkturach, nie może się przeobrazić w czynnik twórczy z punktu widzenia ideologii krajowej.

I p. Cat, jeżeli szczerze pragnie, by tlejące w społeczeństwie polskim miejscowym węgielki krajowości nie zagasły zupełnie, nie powinien się obawiać tego silnego prądu jaki wieje ze szpalt „Przeglądu Wil.“. Może ten i ów słabo żarzący się węgielki istotnie zagaśnie, ale natomiast zajmą się żywym płomieniem stopy suchych gałęzi, którymi kraj nasz jest zawalony. Dmuchać zaś ostrożnie i potrząsając wciąż przezornie „Minimaxem“ imperjalizmu polskiego nigdy p. Cat nie osiągnie tego rezultatu, o jakim chwilami marzy, by Wilno a nie Kowno stało się ośrodkiem myśli i wysiłków państwowo-twórczych wielko-litewskich.

L. Abramowicz.

Metamorfozy.

Nie tak dawno ukazał się w „Kurjerze Wileńskim” artykuł wstępny na temat potrzeby przeorientowania wsi naszej przez Jędynkę. Autor artykułu, świeżo-upieczony krajowiec p. lit. zdradził i w tym wypadku słabą znajomość prawdziwych stosunków krajowych, gdyż nie wie widać tego, że wieś tutejsza jest już od szeregu lat przeorywana przez wybitnych przedstawicieli Jędynki w swoisty sposób i że rady jego pod tym względem są już mocno spóźnione. Nie zawadzi jednak skorzystać z poruszonego tematu i rzucić pewne światło na to „przeorywanie” naszej wsi.

Nie zupełnie słuszny jest pogląd, często w prasie wypowiedzany, że polityka polska w stosunku do tak zwanych „Kresów” grzeszy brakiem wszelkiej konsekwencji. Pewną nić odnaleźć tu można, a snuje się ona w szarej przędzy naszego życia systematycznie, bodaj od początku rządów polskich na ziemiach litewsko-białoruskich. Ujrzymy ją w życiu wsi naszej, w owem właśnie „przeorywaniu” tej wsi. Systematyczną tę pracę prowadzi pewien nowy u nas czynnik polityczny, niedostatecznie w życiu ujawniony, względnie niedokładnie odcyfrowany — często z ręcznie dla oka niewprawnego zamaskowany. Jednak ślady tej pracy w życiu wsi są widoczne, „bruździ” ona dosyć znacznie łany naszego wioskowego życia i dlatego zaznajomienie się z tym czynnikiem i z jego pracą — jest niezbędne dla oświetlenia prawidłowego miejscowych stosunków.

Już za czasów „Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich” zjawia się na ziemiach naszych — nie tu u nas zrodzona — „Straż Kresowa”. Wszyscy ją dobrze pamiętamy. Szła ona w ślad za wojskiem polskim w parze z nową administracją, częściowo symbiotycznie z nią z związana. Pamiętamy tych młodych panów w strojach nawpół wojskowych, którzy uwijali się po wioskach, rzucając pierwszy siew kultury polskiej w nowej jej formie. W roku 1920 owa „Straż Kresowa” rozwija już nader wszechstronną działalność, posiadając bardzo znaczne środki. Tworzy ona naprędce różnorodne komórki organizacyjne o charakterze społecznym, jak spółdzielnie, kółka rolnicze, koła młodzieży wiejskiej i t. p. Wiele dziś istniejących organizacyj ma swoje źródło w ówczesnej twórczości „Straży Kresowej”, np.: Związek Kółek Rolniczych w Wilnie, Centrala Spółdzielni, Związek Młodzieży i inne.

Spotykamy już wtedy tych samych ludzi, dziś całkowicie zadomowionych jak pp.: Mydlarz, Małowieski, Ostrowski i inni.

Powstaje piśmisko ludowe subsydjowane, które przetrwało aż doniedawna. „Straż Kresowa” zajmuje się wówczas sprowadzaniem narzędzi rolniczych, nasion i t. p. potrzebnych dla wieśniaka rzeczy. Kraj jest wprost zalany mnóstwem książeczek, broszur i ulotek agitacyjnych. Ruchliwość „Straży Kresowej” jest istotnie godna podziwu.

Działalność intensywna „Straży Kresowej” trwa aż od ewakuacji urzędów polskich w r. 1920. Powraca ona znowuż wraz z wojskiem i administracją, jednak nie ma już (przynajmniej na gruncie Wileńszczyzny) swego pierwotnego rozmachu, gdyż widocznie dla organizacji tej zarysowują się mniej pomyślne konjunktury. Na terenie Litwy Środkowej działalność jej wyraźnie już słabnie.

Należy sobie uprzytomnić, że komórka główna,

nerw główny „Straży Kresowej” tkwi w Warszawie, tam się ona wylęła i od warunków warszawskich był jej był uzależniony. A nastąpiły wszak wówczas rządy parlamentarne, wyłoniły się nowe czynniki, zapanowały odmienne wpływy.

Nie mamy zamiaru zastanawiać się tu nad genezą „Straży Kresowej” gdyż to zadaleko-by nas zaprowadziło. Chodzi nam tylko o podkreślenie, że „Straż Kresowa” była pierwszą formą tego nowego czynnika politycznego, którego oblicze ujrzelśmy na naszych ziemiach. Chcemy tu zaznaczyć, że „Straż Kresowa” nie narodziła się u nas, że przyszła ona do nas z zewnątrz z własnymi metodami, z własnymi ideałami, a w większości i z własnymi ludźmi. Jeżeli „Straż Kresowa” wolno nam będzie przyrównać do poczwarki motyla (można porównać i z innym owadem, jak kto woli) — to w dalszym ciągu wypadnie rozważyć następne fazy jej przeobrażenia się.

Jak wspomnieliśmy wyżej, na terenie Litwy Środkowej zauważyć się daje pewien zanik „Straży Kresowej”, ale — zarodek jest; ludzie pozostali. Nastąpił okres Sejmu wileńskiego. O „Straży Kresowej” już zapomniano; wysunęło się dla kraju zagadnienie doniosłe — Sejm plebiscytowy. Społeczeństwo miejscowe przygotowywało się do zasadniczego wypowiedzenia się w sprawie przynależności kraju; t. zw. demokracja wileńska medytowała. I tu zachodzi fakt przez nikogo nieprzewidziany. Grupa nowych ludzi, niczem z krajem nie związanych, śmiałym atakiem zajmuje w Sejmie czołowe miejsce. Jako przywódców tej grupy widzimy działaczy ze „Straży Kresowej” (Małowieski, Janikowski, Nusbaum, Ostrowski i t. p.) — niby już nieżyjącej. Stara farba zostaje przemalowana. Na prędcie preparuje się nową organizację — *Rady Ludowe*. Zanotujemy sobie tu nową formę tej samej istoty, a więc: Nr. 1 — Straż Kresowa Nr. 2 — Rady Ludowe.

Nawiasem warto zaznaczyć, jak mało doceniany był przez demokrację miejscową ten fakt. Grupa nowych ludzi, wyrażając się gwarą kawaleryjską, przejechała się po brzuchach miejscowej demokracji i z niesłychanym tupetem zadecydowała o dalszych politycznych losach naszego kraju — nie wywołując w środowisku demokracji właściwej reakcji. Wszak nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że fakt ten wpłynął decydująco na przyszły rozwój tej demokracji; to było trucizną, która spowodowała następny powolny paraliż tego odłamu miejscowego społeczeństwa. Ale wracamy do tematu.

Po tych sukcesach w Sejmie wileńskim, „Rady Ludowe” nie długo istniały. Przyszły wybory do Sejmu warszawskiego — zwyciężyło „Wyzwolenie”, Rady Ludowe znikły z widowni. Pozostała tylko nazwa „radziuków”, odnowiona niedawno przez p. L. Ch. w „Przeglądzie Wil”. Przyjrzyjmy się dalszym metamorfozom.

Nastają czasy nie tyle nowe, ile mniej dla naszej poczwarki pomyślne. I Straż Kresowa i Rady Ludowe znikają pozornie z naszego gruntu. Ludzie o nich zapominają. I tu zaczyna się okres, mniej efektywny, bardziej przewlekły. Powoli wytwarzają się nowe formy — istota zostaje ta sama.

W ślad za zmienną ustawą z d. 17 grudnia 1920 r. o osadnictwie wojskowym napływają do kraju osadnicy wojskowi. Ludzie ci organizują się wewnętrznie, względnie ktoś ich organizuje i organizuje umiejętnie. Powstają na terenie wsi tak zwane Związki Osadników Wojskowych. Rzeń naturalnie tkwi w Warszawie, w tak zwanym „Centralnym Związku

Osadników Wojskowych" — w skróceniu „CZOW”. Na gruncie warszawskim „Czow” staje się pupilem wszystkich politycznych czynników; mniej serdecznie jest widziany na prawicy (względnie z pewnymi zastrzeżeniami) — bardzo troskliwą opiekę znajduje u wszystkich (nie wyłączając „Wyzwolenia”) partyj lewicowych (Poniatowski, Dębski, Wilkoński). W rezultacie „Czow” potężnieje. 8 000 zorganizowanych dobrze głów — to wielka siła w naszym tak różnolitym kraju. Serce warszawskie „Czow-u” zdobywa w stolicy wpływy, przed Związkiem Osadników powstają duże możliwości. „Czow” uważa siebie za apostoła, którego misją patriotyczną jest zacieśnienie więzów pomiędzy „kresami” a „macierzą”. „Czow” do tego zmierza konsekwentnie. W kołach miarodajnych warszawskich rzeczy te są dobrze widziane. Przychodzi pomoc wszechstronna — jest w tym kierunku inspirowana administracja państwowa. „Czow” ma stosunki w Warszawie, ma poparcie zapewnione władz i urzędów miejscowych. Urzędy Ziemskie, Bank Rolny — i inne instytucje są w ścisłym kontakcie z „Czow-em”. „Czow” w mniemaniu administracji jest organizacją jedynie pożyteczną i państwowotwórczą w naszym kraju (p. *lit* powiedziałaby „przeorująca”). Czow staje się jakby organizacją półoficjalną.

To też widzimy coraz większy rozpęd z jego strony. „CZOW” przedewszystkiem przeobraża się w „CZO”, czyli odrzuca w swej nazwie przymiotnik „wojskowych”, gdyż wchłania w siebie również osadników cywilnych. A co to są osadnicy cywilni? Nie są to tylko koloniści z rdzennej Polski, lecz wchodzą tam prosto i włóścianie miejscowi, którzy kupili, czy zamierzali kupić kawał ziemi. Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że tylko przez „Czo” można gładko załatwić wszystkie sprawy w urzędach, a także łatwo można uzyskać kredyt. Do „Czo” ludzie garną się chętnie — to przynosi korzyść namacalną. W ten sposób „Czo” rozrasta się.

Ale nie na tem koniec. „Czo” nie chce nabrać charakteru powszechnego, „Czo” chce pozostać w swych własnych ramach organizacyjnych. Ekspansji na zewnątrz nadaje inną formę. Posiadając doskonale wydyscyplinowaną organizację, „Czo” łatwo opanowuje tworzące się organizacje społeczno-rolnicze, względnie sam je w większości wypadków powołuje do życia. A więc Związki Kółek Rolniczych stają się wkrótce ekspozyturami „Czo”. Niby są to organizacje samodzielne, lecz znajdują się pod wyłącznym lub przemożnym wpływem „Czo” (zwłaszcza w woj. Nowogródzkim i Poleskim). „Czo” sięga głębiej i w tym celu zabiera się do tworzenia spółdzielczości. Pod auspicjami osadników tworzą się zręby organizacyj spółdzielczych. W pierwszym rzędzie wymienić tu wypadnie spółdzielnie kredytowe, czyli kasy spółdzielcze typu Rejfensena — zwane obecnie Kasami Stefczyka. Na drugim miejscu znajdują się mleczarnie spółdzielcze. „Czo” o własnych siłach wszystkiemu temu poddać nie może. Sprawdzają się więc (naturalnie z Warszawy) Oddziały Centrali Spółdzielczych. W Wilnie wyrastają: Centralna Kasa Spółek Rolniczych, Związek Rewizyjny Polskich Spółdzielni Rolniczych, Związek Spółdzielni Mleczarskich i Jajczarskich. Wszystko to naturalnie w formie filij uzależnionych od Warszawy (broń Boże nie samodzielnych). Oczywiście inicjatorzy mają decydujący wpływ i kierownictwo spoczywa w ich rękach. Dlatego wszędzie w zarządach, w radach widzimy osadników, lub osoby przez nich wysunięte. „Czo”

ma własny organ polityczno-społeczny. Początkowo „Osadnik” pismo tygodniowe w Warszawie wychodzące, jako organ Czow-u przeobraża się w pismo „Rolnik i Zagroda”. Pismo to masowo jest u nas kolportowane, jest dobrze redagowane, ma ponętą szatę — no i jest tanie.

Z biegiem czasu gdy warunki finansowe w państwie stają się bardziej stabilizowane, subsydja i kredyty rządowe tworzą coraz mocniejsze podstawy dla wszystkich wyżej wymienionych przedsięwzięć. Dzięki temu sfera ich wpływów i zakres ich działalności coraz bardziej się rozszerza i wzmacnia. — Po przewrocie majowym widzimy już pewną organizację polityczną, której kadry złożone są w głównej mierze z osadników. Mamy tu na myśli „Związek Naprawy Rzeczypospolitej”. Z chwilą ujawnienia się tej organizacji ściśle politycznej, do której gremjalny akces zgłosiły organizacje osadnicze — sytuacja wyjaśnia się i nie może budzić już wątpliwości co do głównego źródła, z którego inspirowane były wszystkie wyżej wymienione posunięcia. Znowuż rozpoznamy w tem nową formę (przynajmniej na naszym gruncie) znanej już nam poczwarki, którą poznaliśmy uprzednio w postaci Straży Kresowej i w Radach Ludowych. Kilkoletnia organizacyjna praca, konsekwentnie prowadzona, zostaje zdyskontowana w formie efektu politycznego. Wiadomem jest bowiem, że „Związek Naprawy” wystąpił jako czynnik prawie decydujący w reprezentacji Sejmowej t. zw. Kresów*). A więc orali, sieli i, z pomocą bożą, plon zebrali. P. *lit.* ze swemi radami trafił raczej na czas dożynekowy.

Ale zanotujmy sobie te przeobrażenia: Nr. 3— Osadnictwo i uzależnione odeń organizacje gospodarcze i kult.-oświatowe oraz wreszcie Nr. 4— „Związek Naprawy”.

Jeżeli wszystko to sobie uzmysłowimy i dokładnie odcyfujemy, — to zrozumiemy, że jest to praca *konsekwentna*. Charakterystyczny rys tej planowej roboty stanowi dążenie, aby nie dopuścić do samodzielnego wystąpienia i organizowania się miejscowego społeczeństwa, zwłaszcza mas ludowych. Są to metody perfidne, obliczone na daleką metę, o wiele niebezpieczniejsze od krzykliwego nacjonalizmu endeckiego. Zwrócić na nie baczną uwagę i przeciwstawić się im powinni ci wszyscy, którym chodzi o zachowanie indywidualnego oblicza naszego kraju i którzy pragną dlań lepszej przyszłości, niż pełnienie roli warszawskiego *Hinterlandu*.

Gudas.

Niefortunne rozporządzenie

Znowu jesteśmy zmuszeni zanotować jeszcze jedno najzupełniej niefortunne rozporządzenie J. E. arcybiskupa-metropolity wileńskiego ks. Jałbrzykowskiego. Ks. metropolita wydał do podwładnego mu duchowieństwa okólnik, aby proboszczowie w jak najprędszym czasie zamknęli istniejące od wieków wiejskie cmentarze, oraz aby odtąd w każdej parafii był jeden tylko cmentarz grzebalny w pobliżu kościoła.

*) Ściśle biorąc 27 „naprawiaczy” w Sejmie z woj. Nowogródzkiego, Poleskiego i Wołyńskiego, 2 z Wileńskiego.

Uważamy ten okólnik za wysoce niefortunny, nie liczący się z miejscowymi warunkami i stosunkami, tak zresztą jak i inne rozporządzenia ks. metropolity, który będąc człowiekiem zupełnie obcym naszemu krajowi (pomimo znajomości języka litewskiego) nie chce wniknąć w skomplikowane stosunki na obszernym terenie archidiecezji wileńskiej i zbliżyć się do miejscowego społeczeństwa katolickiego, aby godzić i łagodzić istniejące u nas antagonizmy. Gdyby postępował w ten sposób, zasłużyłby na wiekopomną wdzięczność różnolitego społeczeństwa katolickiego, ponieważ jednak nie chce się liczyć z nikim i niczem, a zasadą, którą się posługuje jest zasada „*sic volo sic jubeo*”, przeto pozostanie dla wszystkich, oprócz garstki nacjonalistów polskich, zupełnie obcym.

Okólnik o cmentarzach — jest całkowicie nie stosowny dla naszego kraju dla następujących powodów.

Godzi on przedewszystkiem w najuboższe warstwy ludności wiejskiej, które częstokroć nie mając konia ani wozu, (większość zaś bezrolnych, a nawet małorolnych znajduje się w tem położeniu) będą zmuszone wynajmować je u bogatszych sąsiadów (o ile ci jeszcze zechcą) za grubą opłatą, jeśli to będzie latem i jesienią, bo wtedy polowe roboty, jeżeli zaś w czasie wiosennych roztopów, to z powodu złej drogi. A ile trzeba będzie nałożyć drogi, by dostać się do jednego cmentarza parafjalnego, gdy wiosną rozleją rzeki i ruczaje, a marne i tak mosty zostaną zniszczone, ile to godzin przejdzie, nim nieszczęśliwego nieboszczyka wytrząsłszy należyście, złożą na wieczny spoczynek, ten tylko oceni, kto jak niżej podpisany wytrząsł się w tym roku jadąc wiosną wyborą parą koni 25 wiorst w przeciągu 8 godzin z przygodami. Może taki okólnik ma rację bytu w krajach, gdzie większość dróg—to świetne szosy, a parafje liczą zaledwie kilka lub jeden dziesiątek osiedli, a nie tak jak u nas, gdzie drogi i mosty są w większości haniebne, odległości poszczególnych osiedli od kościołów liczą się na dziesiątki wiorst, a parafje mają w swem obrębie nieraz około setki osiedli. Ks. metropolita wizytując swoją diecezję powinien by to czynić w czasie roztopów wiosennych, a nie w czarownym miesiącu maju, wtedy by może się przekonał o słuszność naszych twierdzeń.

Musimy zwrócić uwagę, że nawet w Wilnie — co było by daleko racjonalniejsze — nie ma jednego centralnego cmentarza, istnieją bowiem aż trzy cmentarze katolickie, nie licząc inowierczych; nie możemy więc pojąć po co „centralizować” nieboszczyków w wiejskich parafjach? Względy higieniczne nie grają tu chyba najmniejszej roli, bo w Wilnie wszystkie 3 cmentarze katolickie *czytane* znajdują się w mieście, gdy na wsi cmentarze położone są *wyłącznie* w laskach na skraju lub w polu w znacznem oddaleniu od osiedli. Ks. metropolita jedną ręką ochrania parafjan od wygórowanych opłat za posługi religijne ustanawiając taksy, drugą zmusza biedaków, u których śmierć zagości, do nadmiernych wydatków za pomocą okólnika kasującego wiejskie mogilniki i zabraniającego zakładania nowych.

Kasowanie dawnych cmentarzy wiejskich, gdzie żyjący potomkowie chcieliby spocząć obok swych przodków jest unicestwianiem jeszcze jednej, a bodaj czy nie głównej arki przymierza między dawnymi, a nowymi laty, jest niszczeniem poezji i tradycji, otaczającej takie mogilniki tutejsze porośłe starymi drzewami. Zamknięcie wiejskich cmentarzy będzie

równoczesną ich zagładą; jesteśmy pewni, że władze duchowne nie zechcą interesować się ich stanem i prędko znikną one z powierzchni.

Nie możemy zupełnie pojąć przyczyny wydania owego okólnika. Możemy tylko podejrzewać dwie, obie nie wytrzymujące krytyki:

1) chęć niedopuszczenia grzebania nieboszczyków bez księdza, a to w celu kontroli nad osobami zmarłymi bez śś. Sakramentów.

2) względy, merkantylne, aby pobierać opłaty za miejsce na cmentarzu, co jest dotąd na wsi niepraktykowane.

Podobne rozporządzenie, nie liczące się z miejscowymi warunkami, narzucane siłą autorytetu władzy duchownej w rzeczach dalekich od dogmatów i kanonów Kościoła Katolickiego — rozgoryczają ludność i oburzają nawet tych, którym się wydawało dotąd, że J. E. ks. Jałbrzykowski jest ideałem Pałsterza diecezji.

Euzebjusz Łopaciński.

Surowy wyrok, jaki zapadł w sprawie „Biel. Hramady”, skazujący b. posłów do Sejmu Taraszkiewicza, Rak-Michajłowskiego, Wołoszyna i Miettę na 12 lat ciężkiego więzienia, a szereg innych oskarżonych na 3 do 8 lat takiegoż więzienia wyw.iał mocno przygnębiające wrażenie we wszystkich kołach, nie ogarniętych szaleem nacjonalizmu polskiego, a przedewszystkiem trzeźwo się zapatrujących na perspektywy rozwoju państwowości polskiej na wschód od Bugu.

Tylko podle niewolnicze dusze, które same nigdy nie rwały się do wolności, pokornie znosząc razy i kopnięcia niedawnych swych panów, przyjęły wyrok Wileńskiego Sądu Okręgowego z uczuciem radości, że nareszcie i im pośrednio przypadła w udziale możność gnębienia i pastwienia się nad słabszym. Zwykła lokajska psychika!

Pod względem prawnym wyrok nie jest jeszcze ostateczny, gdyż niewątpliwie sprawa się znajdzie na wokandzie Sądu Apelacyjnego, a być może oprze się nawet o Sąd Najwyższy. Ale po i względem politycznym dalsze fazy procesu, nawet w razie znacznego złagodzenia wyroku nie będą miały już tego znaczenia, co orzeczenie pierwszej instancji, oczekiwane z napięciem w kraju i zagranicą. Fatalne wrażenie pozostanie na długo, a niewątpliwie znajdą się odpowiednie czyniki, które potrafią je umiejętnie wyzyskać i pogłębić.

Piszą do nas.

Dokuczliwy system.

Niejednokrotnie rozlegały się i wciąż się rozlegają na łamach pism wszelkich kierunków i odcieni uzasadnione skargi na biurokracyzm, panujący we wszystkich dziedzinach naszego życia. Każdy niemal krok obywatela demokratycznej w założeniu „Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej” jest reglamentowany przez policję i administrację, która u nas posiada niesłychane gdzieindziej uprawnienia.

Chcesz sprzedać kawałek gruntu—proś o pozwolenie Urzędu Ziemińskiego, chcesz wyciąć kilka sosen—nie możesz tego uczynić nie tylko bez zgody inspektora ochrony lasów, co jeszcze byłoby zrozumiałe, ale i władz wojskowych, co już zakrawa na śmieszność, chcesz postawić jakiś budynek, ba nawet płot w swym folwarku—musisz wpierv sporzą-

dzić plan, rysunek i uzyskać aprobatę gminy albo nawet starostwa i t. d. i t. d.

O skomplikowanej procedurze podatkowej nie ma co i wspominać, gdyż ta bolączka dostatecznie już wszystkim dała się we znaki. Tego nie wolno, tamto jest zakazane, o tem trzeba meldować, o tamto trzeba prosić pozwolenia i tak na każdym kroku. W wyniku żyje się pod wrażeniem, że nie aparat państwowy istnieje po to, by zapewnić obywatelowi państwa znośniejsze warunki życia i pracy, ale ludność istnieje po to, by administracja miała na kim czynić swe eksperymenty i wykazywać swą pomyślność.

A pomysły bywają często wprost kapitalne.

Nie wiem, czy wszyscy zainteresowani zwrócili uwagę na najświeższe rozporządzenie prezesa Wileńskiej Izby Skarbowej z d. 14 maja b. r., które przytaczam tu dosłownie:

„Na mocy rozporządzenia Ministerstwa Skarbu z dnia 9-go stycznia r. b. o obowiązującym zakazie plantowania tytoniu dozwolone jest przy urządzaniu ogrodów i kwietników obsiewanie, w celu przyzdobienia klombów, niektórymi odmianami tej rośliny, a mianowicie: *Nicotiana affinis vel alata*, *Nicotiana Sanderæ vel Sanderiana purpurea* i *resea* tudzież *Nicotiana colossea* (*Nicotiana* albo *Lehmannia tomentosa*).

Osoby korzystające z tego zezwolenia, obowiązane są jednak, meldować o tem właściwemu Inspektorowi Akcyznemu, niezależnie od ilości wysianego nasienia, pod rygorem grzywny od 10 do 300 zł. przewidzianej w art. 62 Ustawy Karno-Skarbowej”.

Czy nie jest to szczyt biurokratyzmu? Czy można już pójść dalej w dążeniu do zatrucia człowieka życia, do obrzydzenia mu wszelkiego zajęcia, nawet tak niewinnej rozrywki, jak pielęgnowanie cgródków i sadzenie kwiatów? Widocznie w ministerstwach warszawskich siedzą urzędnicy, którzy nie mają nic do roboty i dla zabicia czasu łamią sobie głowę nad wynalezieniem najbardziej skutecznych sposobów dokuczenia tym szczęśliwcom, którzy nie potrzebują tak jak oni przesiadywać siedem godzin w nudnym biurze i potem wracać do dusznego mieszkania na piątym piętrze w ponurej kamienicy.

Ostatecznie można pójść jeszcze dalej i zmusić obywatela, by zastosował tryb swego życia ściśle do opracowanego przez poszczególne ministerstwa regulaminu. Tak podobno działo się w republice paragwajskiej w XVII wieku. Tam nawet funkcje naturalne mogły być spełniane w określonych godzinach.

Ale tam przynajmniej regulamin był nieskomplikowany, a u nas trzeba nielada być erudyta, by się zorientować we wszystkich ustawach, rozporządzeniach, dekretach i okólnikach.

Obywatel.

Więcej kontroli!

Od lat już prawie dziesięciu mamy rządy polskie w naszym kraju; w tej i owej dziedzinie, pomijając stronę polityczną, widzimy pewien postęp, pewien krok naprzód. Tylko w dziedzinie oświatowej, może ze względu właśnie na jej wybitnie polityczny charakter, nie możemy się dopatrzeć zmian na lepsze.

Na tem polu mamy wszakże w przeszłości chlubne poczynania Komisji Edukacyjnej, w pamięci ogółu nie wygasły jeszcze świetne tradycje Uniwersytetu Wileńskiego; *noblesse oblige* i ta dawna praca owocna powinna by być bodźcem dla teraźniejszego

pokolenia, — posiadającego większe możliwości i środki. Tymczasem widzimy tu nie tylko braki, lecz wprost horendalne stosunki — i oplakany stan rzeczy.

Cały szereg faktów potwornych, jak zamach w gimnazjum Lelewela, zamach w gimnazjum święciańskim, świeży anonimy z groźbami śmierci otrzymane przez dyrektora gimnazjum w Lidzie, o czem wspomina „Il. Kurjer Krakowski“, zawiły i skandaliczny proces o nadużycia w Kuratorjum Wileńskim historia 3 inspektorów szkolnych w Głębokiem, (nb. wszystkich rodem z Galicji), sprawa nauczyciela historii w gimnazjum im. Orzeszkowej w Wilnie, który się okazał zbiegłym kryminalistą z Galicji, głośna sprawa 2 nauczycielek szkół powszechnych, podrabiających banknoty (znowuż z Galicji), tolerowanie, jako nauczyciela szkoły powszechnej koło Dukszt w ultra-katolickim państwie, człowieka, co porabiał księdza, wreszcie ostatni zbrodniczy czyn niejakiego Menlicha, nauczyciela szkół powszechnych w pow. Lidzkim, który zdeflorował, jak dotąd stwierdzono, 6 uczniów w wieku od 12—14 lat jest również Galicjaninem) obok mnóstwa innych, mniej jaskrawych, lecz również skandalicznych szczegółów, któreśmy sami obserwowali lub które nas zewsząd dochodzą — składają się w całości na obraz ponury, nasuwający smutne refleksje.

Żelazna miotła od przewrotu majowego działa energicznie, choć może nie zawsze trafnie; w dziedzinie jednak szkolnictwa trwa ten sam zastój i dziwny bezwład, którego skutki widzimy.

Kto ponosi największą winę za ten niefortunny dobór personelu pedagogicznego — nie wiemy. Jednakże rzuca się w oczy stałe zjawisko — nasyłanie do nas z Galicji najgorszych elementów, które tam nie mogą znaleźć pola dla swej działalności, a tu na błogosławionych ciemnych „kresach” robią karierę; nie przeczymy, że znajdzie się wśród tych przybyszów garstka znikoma ideowców, lecz większość — t w najlepszym razie niezdatni do tak odpowiedzialnej pracy ludzie z wyniosłymi, pogardliwymi minami „kulturregerów”, jeżeli nie oszuści i zbrodniarze w rodzaju p. Menlicha. O ludziach z naszego kraju wie wszystko, jeżeli nie ten to drugi i łatwo zupełnie zdemaskować oszusta i łajdaka, gdy jednak taki działacz oświatowy przyjeżdża z drugiego krańca państwa, to dopiero czas może wykazać, czego jest on wart pod względem umysłowym i moralnym. Ale czy jest dopuszczalne tego rodzaju eksperymentowanie na żywym organizmie ludności miejscowej, która musi znosić cierpliwie wybrki obdarzonego wcale niemałą władzą pedagoga, aż nim nie znajdą się one w wyraźnej kolizji z kodeksem kryminalnym? Czyż niema sposobu na zapobieżenie tego rodzaju okropnym wypadkom, jak ten ostatni w Boleciszkach w pow. Lidzkim? Czas już wielki coś w tym kierunku przedsięwziąć!

Sarjusz.

Po obchodzie ku czci Berka Joselewicza.

Uroczysty obchód setnej rocznicy zgonu pułkownika wojsk polskich Berka Joselewicza, urządzony w Wilnie dn. 6 maja dzięki swej sztuczności i, jeśli się można tak wyrazić, egzotyczności, minął niemal niepostrzeżenie i nie pozostawił po sobie żadnych śladów.

O ile tego rodzaju obchód, zorganizowany w Warszawie, czy w Krakowie, wywołałby niewątpliwie mniejszy lub większy entuzjazm wśród ludności żydowskiej, o tyle obchód ten w Wilnie stał się przedmiotem wyłącznie sensacji i zaciekawienia.

Nietrudno to było zresztą przewidzieć. „Uderzała — pisze „Słowo” w sprawozdaniu z obchodu — skąpa względnie liczba przedstawicieli miejscowego społeczeństwa żydowskiego”. Czy mogło być inaczej? Obchód przecie nie wyrósł z potrzeb miejscowego społeczeństwa żydowskiego, lecz został temuż społeczeństwu narzucony *z zewnątrz*.

Obojętność Żydów wileńskich względem obchodu uzasadnia „Wiln. Tog” w następujących słowach:

„Minęły już czasy, kiedy fakt osiągnięcia przez Żyda rangi pułkownika mógł entuzjazmować społeczeństwo żydowskie. Minęły już czasy, kiedy Żydzi czynili wielkie wysiłki, aby udowodnić, że są obywatelami kraju pożytecznymi dla państwa. Są to rzeczy dla Żydów oczywiste, a powinny być oczywiste również dla innych. Wszelkie szczególne manifestacje są tu więc zbyteczne. Manifestacja ku czci Joselewicza miała specjalny posmak, wskutek pompacyjności jej przebiegu. Czuć było coś nieszczerego w całym przedsięwzięciu. Bowiem w okresie, gdy Żydzi toczą ciężką rozpaczliwą walkę o prawa elementarne, musi być nieszczerością odprawianie takiego święta Joselewicza. Pismo uważa za zbędne tego rodzaju manifestacje właśnie dla tego, że Żydzi czują się równouprawnionymi obywatelami, a nie uważają za konieczne dowodzenia tego tem, że Żydzi posiadali Berka Joselewicza. Motywowanie praw żydowskich powoływaniem się na Berków jest koncepcją tchórzliwej, dwulicowej, uległej asymilacji, a współdziałanie z taką koncepcją w r. 1928 należy uważać za anachronizm“.

Ale i „Wiln. Tog” nie ujmuje zagadnienia w całej jego rozciągłości, może dlatego, że prasa żydowska wileńska coraz bardziej zatracza swój charakter krajowy i staje się ekspozyturą pism żydowskich wychodzących czy to w Warszawie, czy Łodzi, czy nawet w Krakowie.

Artykuły wstępne w miejscowych pismach żydowskich są to przeważnie elaboraty warszawskich lub krakowskich dziennikarzy, niczem nie związane z życiem Wileńszczyzny i nie odzwierciedlające specjalnych potrzeb i interesów ziem litewsko-białoruskich.

Mamy na myśli przede wszystkim artykuły p. B. Syngera w „Wiln. Tog'u” i dr. B. Seidena na łamach „Cajt” (nb. tłumaczone z krakowskiego „Nowego Dziennika” bez podania źródła).

Tak zwane zaś działy literackie w piątkowych numerach zawierają utwory żywcem przedrukowane z żydowskich pism amerykańskich

Wskutek tego kwestja żydowska znajduje oświetlenie jednostronne wyłącznie z punktu widzenia stosunków polsko żydowskich, a nie jako cząstka ogólnego zagadnienia równouprawnienia t. zw. mniejszości narodowych, które w Wileńszczyźnie jednakże stanowią właściwie większość. Podziela ten błąd po części dr. Wygodzki na łamach warszawskiego „Hajnt”.

Posel Wygodzki ironizując na temat narzucenia znów Wilnu Towarzystwa Polsko-Żydowskiego przez ludzi do tego niepowołanych, acz mile widzianych przez t. zw. czynniki miarodajne, podkreśla, że zbliżenie dwóch narodowości, zamieszkujących nasz kraj, jakkolwiek konieczne, musi być jednak wynikiem

ich lojalnego, wzajemnego ustosunkowania się i współżycia.

„Tam — gdzie jeden naród — pisze dr. Wygodzki — jest pokrzywdzony przez drugi, może być mowa o zbliżeniu tylko wówczas, gdy jednocześnie się mówi o usunięciu tych krzywd, albo conajmniej rozważana zostaje sprawa podjęcia akcji, zmierzającej do ich usunięcia”.

Postulaty wysunięte przez posła Wygodzkiego w artykule powyższym, jako pierwszy etap w realizacji zbliżenia polsko-żydowskiego na ziemiach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego są następujące:

Przedewszystkiem winien być zniesiony w Wileńszczyźnie przymusowy odpoczynek niedzielny, który nie obowiązywał również Żydów za czasów Litwy Środkowej.

Następnie mowa jest o zreformowaniu systemu podatkowego, nawiasem mówiąc, będącego przedmiotem obrad w kołach miarodajnych stolicy państwa.

Wreszcie żydowskie szkoły powszechne i średnie winny otrzymywać prawa publiczności, a ponadto szkoły powszechne powinny być utrzymywane kosztem władz państwowych i komunalnych.

Zaspokojenie tych minimalnych żądań społeczeństwa żydowskiego niewątpliwie przyczyniłaby się o wiele skuteczniej do zbliżenia polsko-żydowskiego, niż wszelkie obchody i uroczystości, dla mas całkiem obce i niezrozumiałe, jednakże wyodrębnienie kwestji żydowskiej z całokształtu zagadnień narodowościowych kraju jest dążeniem nierealnym i opieranie nadziei na tym gruncie musi przynieść ostatecznie żal i rozczarowanie.

Miecz Goldsztajn.

Bibliografia.

W. Baranowski. „*Gaudeamus*”. Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa. 1927.

Książkę tę p. Cz. Jankowski w „Słowie” nazwał powieścią o Rydze i Wilnie, ale Wilno tu występuje przygodnie, bo akcja przeważnie rozgrywa się na gruncie ryskim, a cała powieść jest osnuta na tle życia korporacyjnego studentów Polaków, studujących na politechnice ryskiej. Autor, dobry nasz znajomy z czasów, gdy przez szereg lat redagował w Wilnie „Kurjer Litewski”, zarzucił obecnie publicystykę i poświęcił się karierze urzędniczej. W wolnych chwilach zaś oddaje się twórczości literackiej, której pierwszym bodaj dojrzałym owocem jest omawiana powieść „*Gaudeamus*”.

P. Baranowski obrał sobie wdzięczny temat, bo przez nikogo dotąd nie wyzyskany, a że zna dobrze opisywane przez siebie środowisko, więc barwnie i plastycznie je odmalował, chociaż w tonach może nazbyt pastelowych. Głęboki sentyment do „Arkonji”, jaki pozostał autorowi na całe życie z czasów studenckich, nie pozwolił mu na bardziej krytyczne oświetlenie stosunków i zwyczajów korporacyjnych, w gruncie rzeczy pozbawionych głębszej treści ideowej. Scena w hotelu Niskowskiego, gdzie korporanci ryscy podczas feryj świątecznych obradują nad sprawą tajnej oświaty w Wilnie razi zanadto swym nieprawdopodobieństwem. Od wszelkiej działalności konspiracyjnej „Arkonii” zawsze stronili i w kołach młodzieży uniwersyteckiej mieli pod tym względem ustaloną opinię.

Szkoda, że autor nie poprzestał na zobrazowaniu samego życia studenckiego w Rydze, rozszerzając niepotrzebnie akcję na teren Wilna i Polesia, na którym łatwo było wpaść w przesadę, której też autor nie ustrzegł się wyprowadzając na scenę karykaturalną figurę szlachcica Romejki i zgoła fantastyczną postać jego córki. Dzięki tym komplikacjom „Gaudemus” przypomina pod wielu względami niektóre powieści Weyssenhofa, gdy się oczekiwało raczej czegoś w rodzaju obrazków z życia studenckiego Garmastona.

Powieść czyta się na ogół z zajęciem, a pogodny ton, w jakim jest utrzymana, zapewni niewątpliwie jej powodzenie.

a.

„Knygneszys” 1884—1904. I tomas. Kaunas 1928 str. 320.

Tom drugi „Knygneszys’a” iak i pierwszy, o którym swego czasu „Przegląd Wil.” zamieścił obszerne sprawozdanie, przedstawia się okazale.

Wydawnictwo to jest hołdem składanym obecnie przez wdzięczne społeczeństwo litewskie tym, którzy w okresie największego ucisku przez rząd carski nieśli pod strzechę chłopską książkę litewską, przynoszoną zza kordonu, aby ona służyła jako tarcza ochronna duszy narodowej przed wynarodowieniem i była jednocześnie zarzewiem uczuć narodowych.

W książce tej znajdujemy całe kopalnie typów i momentów, które aż proszą się o pióro dramaturga lub powieściopisarza. „Knygneszys’a” czyta się jak dobrą powieść, a dla znającego język litewski jest ona niezmiernie zajmująca i krzepiąca lekturą.

„Knygneszys’a” zdobią liczne fotografie tych cichych bohaterów narodowych, którym nie był straszny ani żandarm rosyjski, ani kazamaty.

Redaktorem, zbieraczem wiadomości o nich jest P. Ruseckas, który się z wielkim pietyzmem do pracy swej odnosi.

W. Sak.

KRONIKA.

Kociół garnkowi przymawia. Telegramy doniosły że grupa studentów litewskich obrzuciła jajami wagon odjeżdżającej z Kowna delegacji polskiej z p. Hołówką na czele. Dzika to i bezmyślna demonstracja antypolska, w gruncie rzeczy pośrednio wymierzona przeciwko prof. Voldemarasowi, dała asumpt „Dziennikowi Wil.” do skreślenia następującej uwagi „Wobec niepospolitego chamstwa pewnej części młodzieży litewskiej, powołanej na uniwersytet wprost od pług i wideł — fakt ten nas nie dziwi”.

Jeżeli obrzucanie jajami ma być dowodem chamstwa i braku kultury, to za tak dosadną atestację niechże podziękują p. Obstowi uczestniczki sły nej demonstracji przeciwko gen Chardigny za czasów Litwy Środkowej, do których należały między innymi córki rektora Uniwersytetu i które dotąd przez pewien odłam prasy polskiej są poczytywane niemal za bohaterki narodowe.

Mejszagola też chce być respektowana! W zeszłym numerze zamieściliśmy wzmiankę o zawieszeniu dziennika rosyjskiego „Utro” i ukazaniu się nowego pisma codziennego w języku rosyjskim, p. t. „Wilenskiej Dień”. Po krótkiej przerwie jednakże „Utro” znów zaczęło wychodzić i mamy dziś w Wilnie dwa konkurencyjne dzienniki rosyjskie. Na razie trudno się dopatrzeć, na czym polegają różnice programowe między nimi. Wznowione „Utro” nabrało charakteru nieco bardziej lokalnego, poruszając szereg zagadnień krajowych i mniej miejsca udzielając wiadomościom z „Galicziny”.

Jednakże pismo nie dorosło jeszcze do zrozumienia ideologii krajowej i z powodu naszej notatki o pochodzeniu rdzennie rosyjskim arcybiskupa prawosławnego Teodozjusza ironizuje na temat „mejszagolskiego poziomu” „Przeglądu Wil.”. Nic dziwnego, że ludzie przyzwyczajeni do olbrzymich przestrzeni b. imperjum rosyjskiego chcieliby widzieć wszędzie szeroką stopową drogę i nasz kraj uważać za „dzikie pole”, po którym każdemu wolno harcówać, jednakże zrozumiałą jest również rzeczą, że mieszkańcom Mejszagoly to się nie uśmiecha i że pragną oni, by cudzoziemcy wpród się naturalizowali, nim sięgną po najwyższe godności i stanowiska. To nie jest mejszagolski specjalnie punkt widzenia, ale warunek, przestrzegany w całym świecie cywilizowanym.

Wykręty i wymysły. Twierdzenie nasze, że przyjazd gen. Chardigny do Wilna za czasów Litwy Środkowej nie był uzależniony od zgody Polski „Myśl Niepodległa” stara się obalić za pomocą następujących wywodów: „Generał Chardigny wkrótce po niefortunnej przygodzie na dworcu wileńskim musiał opuścić Litwę Środkową nie tylko z własnej i nieprzymuszonej woli. Kiedy zaś chciał ją nawiedzić powtórnie, jako delegat Ligi Narodów w lutym 1922 r., zamiar spełził na niczem wskutek protestu władz polskich... Bardzo pięknie, ale wtedy już Litwa Środkowa przestała istnieć, a więc argument „Myśli Niepodleg.” nie ma żadnego związku z naszą tezą.

Reszta artykułu p. Niemojewskiego zawiera rozmaite insynuacje pod adresem redaktora naszego pisma, które jednakże ten nie czuje się dotknięty, bo istotnie prócz języka nic go nie łączy z tem chorem społeczeństwem polskim, które z jednej strony cierpi na megalomanję, a z drugiej na manję przesładowczą.

Wolność słowa. Znanemu publicyście warszawskiemu p. Wieniawa-Długoszowskiemu administracja wileńska nie pozwoliła na ogłoszenie trzeciego odczytu o „Przedwiośnie” Żeromskiego, na tej zasadzie, że pierwsze dwa odczyty miały, jej zdaniem, szkodliwą tendencję. Może tego rodzaju taktyka władz wileńskich odbierze prelegentom warszawskim raz na zawsze chętkę odwiedzania nas i zacieśniania więzów pomiędzy „Kresami” a „Macierzą”?

Głos wołającego na puszczy. W przeddzień wyroku w sprawie „Białoruskiej Hramady” p. M. Świechowski w „Kurjerze Wileńskim” zamieścił gorąco napisany artykuł, omawiający znaczenie polityczne procesu i zawierający następujący apel:

„Panowie Sędziowie! Macie się stać narzędziem sprawiedliwości, a wyrok Wasz będzie nie tylko tym, czy innym aktem prawnym, będzie jednocześnie i czynem politycznym — choćbyście może chcieli jak najbardziej od tego charakteru Waszego wyroku odgrodzić się.

Nim więc wyrok wydacie, módlcie się w ciszy i skupieniu o dar jasnego sądu, wolnego od snujących się wokół oparów nacjonalizmu i nienawiści — módlcie się o dar obywatelskiego jasnowidzenia i spójrzcie w głąb serca Waszego i Waszego sumienia obywatelskiego”.

Naiwne to, ale racechowane niewątpliwą szczerością wezwanie spokoła się z niesmacznymi drwinami ze strony „Dziennika Wil.”, jak zaś zostało przyjęte przez sędziów, można się tylko domyślać na podstawie wyroku...

Odpowiedzi Redakcji.

P. J. Lipskiemu. Poruszona w liście Pańskim kwestja oddzielenia Kościoła od państwa, w którym Pan upatruje zasadniczy warunek powodzenia propagandy Unji kościelnej — nie jest tak prosta, jak się Panu wydaje. Nie możemy jej omawiać na łamach naszego pisma, gdyż dyskusja na ten temat, w naszych warunkach najzupełniej jałowa i mająca charakter akademicki, przesłoniłaby nam cały szereg zagadnień aktualnych i palących, a przedewszystkiem o wiele bardziej dojrzałych, niż teoretyczne rozważania na temat stosunku Kościoła do państwa.

Co się tyczy „Utra”, to będziemy obstawać przy swej charakterystyce tego pisma, jako mającego wybitne zabarwienie nacjonalistyczne. Inna rzecz, że nacjonalizm nie zawsze działa na korzyść sprawy narodowej.